

Londyńskie spotkania po dwóch stronach oceanu



Stefan Kisielewski, fot. culture.pl

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał **Leopold Tyrmand**. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego", a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej.

Przyjechał też **Jerzy Zawieyski**, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko

kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie z **Józefem Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem, Zygmuntem Ławrynowiczem** czy **Napoleonem Sądkiem**, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: *no, to leć pan, latający Holendrze.*

Ze **Stefanem Kisielewskim** mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił **Henryka Mikołaja Góreckiego**. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałobnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Potem odwiedzałem **Stefana Kisielewskiego** w Warszawie. Gościłem go też w ontaryjskim London po przeprowadzce za Atlantyk.

Pracując na uniwersytecie Western, zaprowadziłem Kisielewskiego na wydział muzykologii. Tam, nie znający angielskiego gość, w języku niemieckim przemówił do nauczycieli akademickich. Jeden z nich, rodem z Austrii, skwapliwie tłumaczył jego słowa kolegom. Niemniej wnet mina mu zrzęda, kiedy na zapytanie o socjalizm, Kisielewski bez ogródek nazwał go ustawiczną improwizacją.

Wolontariusz bardzo się napocił, by złagodzić ostre wypowiedzi gościa z Żelaznej Kurtyny, używał bardzo dowolnego tłumaczenia i uciekał się do nierzadziej eufemizmów, by przedstawiany obraz nie pogrążał oczekiwania naiwnych fanów

utopii.

W London Kisielewski w pułkowniku **Czesławie Czajkowskim** rozpoznał swojego dowódcę z września 1939 roku, którego wspomina w swojej powieści "Sprzysiężenie". Później z Warszawy pisaliśmy wspólnie do niego pocztówkę, na której Kisiel meldował się jako dawny podchorąży.

Stefan Kisielewski:

<https://www.cultureave.com/kasztan-kisiela/>

Henryk Mikołaj Górecki:

https://www.cultureave.com/otrzymany-czas-musisz-godnie-przezyc-henryk-mikolaj-gorecki-1933-2010_/

**Pułapka Odysa. Wspomnienie
o Zygmuncie Ławrynowiczu
(1925-1987).**



Mozaika przedstawiająca Odysa z eposu Homera, Muzeum Bardo, Tunis.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Kiedy Zygmunt Ławrynowicz przyniósł mi do druku w „Kontynentach” w 1963 roku swoje rozważania nazwane „Odys w pułapce”, nie przewidział, że użył pochopnie tytułu, że w przyszłości sam znajdzie się w sytuacji aż proszącej się o takie właśnie nazwanie.

Bo jego „Odys w pułapce” traktował głównie o pisaniu w diasporze, o znaczącej twórczości literackiej na emigracji. Chodziło o sens działalności na obczyźnie nie tylko pisarzy, którzy z Polski wyjechali już ukształtowani i pragnęli kontynuować swój fach, ale także o młodych, nie pamiętających swojej ojczyzny, a nawet douczających się języka za granicą, którzy też mieli ambicję pisać po polsku i potykać się w sztafecie twórców.

Te zagadnienia Ławrynowicz poruszył posługując się wypowiedziami Miłosza i Łobodowskiego. Obaj bowiem twierdzili, że twórczość w języku ojczystym jest możliwa gdziekolwiek, że nie jest ważny kraj zamieszkania piszącego.

Łobodowski przywołał wtedy losy ukraińskiego poety Małyniuka mieszkającego w Nowym Jorku. Komentował:

Potencjalnie każdy człowiek jest w stanie zdobyć się na przewyżczenie swego

losu. Każdy człowiek, więc tym bardziej, artysta.

Ławrynowicz rozróżniał tzw. dolę ludzką, sytuację człowieka w świecie, od sytuacji pisarza, który w oderwaniu od macierzy, usiłuje kontynuować ambitną twórczość literacką. Aktywność poety Małyniuka była dla niego

rozpaczliwym krzykiem Odysa, który wie, że nie dopłynie do Itaki i musi umrzeć na obcym brzegu z braku powietrza.

Na emigracji widział tylko pozory działalności.

Literatura postuluje autora, krytyka i odbiorcę, innymi słowy, potrzebne jest jej żywe zaplecze rozwijającego się narodu, aby mogła w pełni zaistnieć. I musi to być twórczość dojrzała, bez taryfy ulgowej. Opiekuńczość prowadzi do mumifikacji, a więc do klęski duchowej.

Przewrót w literaturze, w poezji dokona się gdzie indziej, tu szelest papieru, w kraju oblicze poezji ukształtowali młodzi.

Emigracji wróżył:

Z małymi wyjątkami będzie to przykładem heroicznego grafomaństwa, poezja odcięta od swoich źródeł.

Powieści właściwej nie będzie. Ławrynowicz, podobnie jak wcześniej Darowski, nie wróżył żadnej przyszłości polskiej powieści na emigracji. Dowodził, że środowisko uchodźcze od środowiska tubylczego dzieli szklana ściana. Nie przenikają się wzajemnie. Uchodźcy, podobnie jak turyści, skazani są na wieczne oglądanie fasady. Nie dla nich są kulisy życia lokalnego.

Przyjrząwszy się doświadczeniom innych, Ławrynowicz konkludował:

Jest moim głębokim przekonaniem, że partycypować w twórczym życiu ludzkości za pośrednictwem słowa pisanego możemy tylko poprzez twórczy udział w życiu własnego narodu.

Młodym emigracyjnym pisarzom wskazuje jedynie okrojone możliwości. Nie dla nich lwią część literatury. Mogą próbować eseistyki, krytyki, przekładów. I widzi ich jak alpinistów, którzy w porywie młodego entuzjazmu bez oglądania się na trudności „wdarli się na skalną ścianę i utknęli w połowie”. Nie mają odwrotu, zaczynają rozumieć ogrom trudu potrzebny do pokonania tej góry. Nie wszyscy dojdą do szczytu. Ławrynowicz, sam zapalony alpinista, pisze dwuznacznie o ewentualnym zwycięstwie, o gorzkiej, bezużytecznej i nieprzydatnej wiktorii. Tacy śmiałkowie pocieszają się poczuciem, że od miernoty ocalili własne dusze.

W liście z 1972 roku, kiedy już byłem w Kanadzie, informował o innych kolegach z naszej grupy. O Czaykowskim wspominał:

Niestety woda sodowa zrobiła swoje. Przed paru laty był w Londynie i łaskawie spotkał się ze mną w knajpie. Sztywny i nadęty dał mi do zrozumienia, że o ile kiedyś byliśmy kolegami i pracowaliśmy wspólnie, to teraz wszystko już jest inaczej i „każdy sobie” jak się wyraził. Pożegnałem go bez żalu.

Z kolei Czaykowski w opublikowanym liście do Marii Danilewicz Zielińskiej bardzo na Ławrynowicza wybrzydzał nazywając biadanie nad niemożliwością powieści na emigracji „impotentnym artykulasem”, a jego autora „rudą goryczą”, ciesząc się równocześnie, że „Kontynenty” pod moją redakcją się nie rozkręciły. „Nawet biskup Śmieja nie potrafi uczynić z nimi cudu”.

Dodam, że tylko kilkakrotnie odwiedziłem Czaykowskiego w Kanadzie z powodu odległości do Vancouver. Z czasem jednak te rzadkie „wizytacje biskupie” spotykały się ze stygnącą zachętą do nich, a nawet Busza też już nie znajdował czasu na spotkanie. Kiedy natomiast Czaykowski przybył do Toronto na fundowany wykład, był zaskoczony moją obecnością wśród szczupłego audytorium.

Nie wiem, czy czytałeś ostatnią wypowiedź Darowskiego w „Wiadomościach” informował dalej Zygmunt - gdzie ubolewa nad naszym ubóstwem kulturalnym i żali się, że w naszym języku, który tyle posiada nieharmonijnych zespołów spółgłoskowych, nie można stworzyć nic godnego uwagi. Są to, jak mnie się wydaje, żale niedouczzonego faceta, który zafascynowany bogactwem języka angielskiego zwątpił w polskość... Rozmaici ludzie nagabują mnie, abym zaczął

pisać po angielsku, ale na to nie pójdę, bo zbyt jestem związany ze swoim narodem.

I zdarzyło się, że ciskając się wśród niespodzianek niechcianego losu, Ławrynowicz znalazł się na owianej legendą greckiej wyspie Itace. O mitycznej Penelopie nikt już nie wspominał. Była natomiast „wysmukłonoga kobieta o oczach gazeli imieniem Helga, jasnowłosa pantera”. Powie o niej „ani ty Kirke, Kalypso czy Penelopa, masz własną duszę nieujarzmionej łani”. To greckie spotkanie znalazło dalszy ciąg w Walii. Szczególnie pamiętne były imieniny, które poeta tak zapisał:

były to imieniny

słodkiej pory życia

I nagle ta odurzająca wspólna radość się skończyła. Nastąpiło niewytłumaczalne milczenie. Niedawne zapewnienia ustały. Słodycz zamieniła się w piołun. Ukochane imię zaczęło budzić żal. Barwne „fatałaszkę wspomnień” zastąpiło ciężkie milczenie. A jednak zawiedziony poeta czekał na znak, choćby cios ostateczny. Odeszła ukochana w szpetność snu.

Gdzie indziej, w utworze „I odpuść nam” wyznał

ozdrów sumienia ślepe, gdy pędząc na oślep za urokliwą kraską doczesnych przywidzeń padamy łatwo łupem zwodniczej syreny.

Dziś możemy jedynie domyślać się pod nieobecność świadectw czekających na publikację, jakie były kolejne życia. Kiedy w 1975 w liście pisał:

Jadę do Walii Północnej w góry i mam szczerzy zamiar mocno przebierać nogami od Wielkiej Soboty do końca przyszłego tygodnia. Jeżeli przyjadą młodzi znajomkowie, będę dla nich przewodnikiem,

to ten lakoniczny przekaz był być może preludium do przełomowych wydarzeń w życiu Zygmunta.

Równocześnie z lamentem o epizodzie z Helgą „Trujące jagody”, Ławrynowicz wydał swoje skargi i lamente w zbiorze „Anglo-Babilon”. Wśród inwektyw i żalów, w sztafarzu turpistycznych elementów napisał otwarcie charakteryzując siebie:

los obszedł się z tobą

po macoszemu

ani złota ani korony

nawet tej z liści

jakie czasem zdobią

czoła pieśniarzy

pomazańców ludu

.....

nie dla ciebie dom

w którym kobiece dłonie

porządkują niesforną

grzywę codzienności

Brak docenienia jego poetyki i uciążliwość życia bez towarzyszk, w połączeniu z pracą w znieprawionym świecie interesów, stworzyły odludka, który dusił się w jadach pułapki, jaką jego samotność sączyła nieustannie.



Zygmunt Ławrynowicz, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL-u.

Komentatorom tekstów poetyckich Ławrynowicza chcę wyjaśnić, że fragment wiersza „Ośmielam się wadzić z Tobą” -

ośmielam się pytać ciebie Panie -

słowami tego poety z Madrytu

którego głos uwięził jak cierń w sercu moim -

dlaczego każesz abym gnił w tym mieście

o wiele większym niż stolica Hiszpanii

dla jakich ogrodów i pod jakie kwiaty

przeznaczyłeś zgniliznę mojej duszy i ciała?

- mówi o poecie hiszpańskim Dámaso Alonso (1898-1990), którego wiersz tu wzmiankowany „De profundis”, przełożyłem i wydrukowałem w „Więzi” 7/8 w 1961 roku.

Modlitwa nie przyniosła Ławrynowiczowi ulgi, nie potrafił szukać ratunku u przyjaciół kompletnie nieświadomych tragicznej sytuacji psychicznej poety. Przesycone retoryką wołania o milionach twarzy i ani jednej przyjaźni potraktowano jako poetycką przesadę. Podobny los spotkał otwarte wyrzuty:

Zabrakło dla ciebie miejsca

przy pulsującym korycie

nikt nie pamiętał o tobie

kiedy przydzielano dziewczyny

fotele, nagrody i odznaczenia

Nie potrafił się pogodzić z tak niesprawiedliwie przeznaczonym losem Bo wedle swojej opinii pozostał

nieznany nikomu

i mało potrzebny

Miał o to żal i w swoich modlitwach nie umiał okazać prawdziwej, skutecznej pokory, nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie otrzymał łaski rozumienia, łaski przyjaźni i miłości, o którą prosił, o piękno prawdy. Na nic zdały się błagania, gdy usiłował „łatać podartą duszę”. Oglądał innych ludzi radzących sobie ze światem, przyjmujących rutyny i inne hańbiące obrzędy.

Tacy ludzie chwalili swój chleb codzienny „z plastyku”.

Jego świat spokojny

uporządkowany

zbilansowany

ubezpieczony

godny pochwały i emerytury

jest filarem tego innego świata

w którym dzieją się sprawy

o których on nie ma pojęcia

więc sen ma niezakończony

i skromne marzenia

Oni nie cierpią na rozterkę jego serca i tęsknotę nie dającą się ukoić, przeczuwającego najgorsze:

u kresu drogi

głodny

samotny

i nagi

pod niebem milczącym

nad zastygłą ziemią

Dumne odrzucanie codzienności spowodowało utknięcie na nieprzyjaznej ścianie skalnej. Nie doczekał się ratunku, padł ofiarą nieużytego losu. Znalazł się w pułapce bez wyjścia. A żalił się w jednym z listów

Z melancholią rozważam, ile to lat przemarnowałem zarabiając pieniądze po to, aby mieć z czego żyć i równocześnie nie mieć czasu ani możliwości, żeby żyć naprawdę.

Nie doczekał spełnienia się gorącej modlitwy:

proś na kolanach

o łaskę powietrza

w zatęchłych zaułkach

gasnącego wieku

o łaskę miodu

co beczki goryczy

przemienić zdoła

w ucztę galilejską

pustynie ludzi

w winnicy aniołów.

Zygmunt Ławrynowicz polski poeta emigracyjny, tłumacz poezji i prozy, publicysta i redaktor pism, urodził się na Litwie Kowieńskiej i tam spędził młodość, kończąc gimnazjum w Poniewieżu. W 1943 roku został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec skąd zbiegł przez Jugosławię do Wielkiej Brytanii. Studiował ekonomię i nauki polityczne w University College w Dublinie, a od 1952 roku pracował w banku Loyds w Londynie. Następnie został redaktorem „Życia akademickiego” (1953-1954). Należał do redakcji „Merkurjusza Polskiego”, a w latach 1958-59 współredagował „Życie” i współpracował z „Więzią”, i „Kontynentami”. Był współtwórcą grupy poetyckiej „Kontynenty” (1959-1964). Znał biegle co najmniej osiem języków i dzięki temu znakomicie orientował się w literaturze światowej. Zmarł młodo i nagle w Londynie w 1987 r. (na podst. Wikipedii).

Woda ledwo się marszczy



Ryszard T. Sawicki (*Namysłów*)

Nim wody rzeki staną się wezbrane, wypływają cicho z niewielkiego źródła. A źródło bije w dolinie, wśród spłaszczonych wierzchołków przeciętych wąwozami o stromych stokach. To źródło rzeki Bug. W pobliżu źródeł Bugu znajduje się też źródło rzeki Seret. Okolica leży na europejskim dziale wodnym, na którym schodzą się dorzecza Wisły, Dniestru i Dniepru. Doliny i wzgórza są przeważnie zalesione, lecz wśród ogromnych, dzikich lasów znaleźć można ogrody zasadzone i utrzymywane przez mieszkańców tych ziem.

Źródło rzeki Bug wytryska w niewielkiej wsi Werchobuż, gdzie w sadach kwitną wiosną drzewa czereśni, a jesienią czerwienieją owoce kaliny. Kwitną dziś tak samo, jak kwitły onegdaj, kiedy okolic nie dotknęła jeszcze zagłada, którą przyniósł wiek dwudziesty. W poprzednich wiekach powstawały i zanikały rozmaite siedziby ludzkie, lecz zagłada wieku dwudziestego miała o wiele większą skalę. Skalę, której nie było równych. Kto przeżył ten okres historii, ten wydarzenia wspomina z trwogą, nawet, jeśli kiedyś dzielnie stawiał czoła przeciwnościom, nie poddawał się złu, lecz z nim walczył. Kto ich nie przeżył, ten słucha opowieści z lękiem, który tym tylko różni się od trwogi, że nawiedza w chwili, gdy zagrożenie minęło, nie czai się w czeluści dzikiej kniei. Jest daleko; rzec by można, że zostało za siedmioma górami, siedmioma

lasami. Tam, gdzie rzeka, która znalazła już spokojny bieg, odnawia się teraz w innym czasie, płynie jakby z innego źródła.

Opowieść, której wysłuchałem nie była dla mnie nowa. Była powtórzeniem tej, którą wcześniej przeczytałem. Ale czym innym jest słuchanie opowieści z ust żyjącego świadka historii, a czym innym odczytywanie z druku lub rękopisu, choćby tekst był napisany przez tę samą osobę. Opowieści o wydarzeniach, które miały miejsce w okolicy, gdzie biją źródła Bugu, wysłuchałem z ust osoby mi bliskiej, starszej ode mnie o kilkadziesiąt lat. Wcześniej czytałem tekst, który spisała, a także mogłem porównać jej opowiadanie z opowiadaniem innych osób, byłem więc przygotowany na to, co usłyszę. Jednak słuchałem i tym razem nie bez lęku, że znów poczuję, jak w świadomości zapadają obrazy, które zapisały się w ułamkach zwierciadła, a jego ułamki, tak samo jak zapisane w nich obrazy, kaleczą i sprawiają ból. I będę musiał, jak bywało przedtem, *wyjść z oczu bolesne szkło*, o którym czytałem w tomie wojennej poezji. Wolałbym czytać taki na przykład wiersz: *Woda ledwo się marszczy i ledwo oddycha, gładka i równa, wezbrana i cicha*. I jeszcze inaczej: *O Bugu, czystych wód święty kryształ... nie pali twej wody od wierzchu do głębi spiekota w południa zacisze*. Ale powrót do tych starych wierszy sprzed kilku wieków jest trudny, bo to dwudziestowieczna poezja, nie starsza, wypływa pierwsza na powierzchnię świadomości, gdy słucha się opowieści o doświadczeniach współczesnych, żyjących jeszcze, bliskich osób. Takich, jak przyrodnia ciotka mego ojca, Maria.

Ciocia Marysia jest córką pradziadka Józefa, ale ojciec nie nazywał jej ciocią, bo jest starsza od niego tylko o trzy lata. Pradziadek Józef ożenił się po raz drugi w późnym wieku, a Marysia przyszła na świat, gdy miał sześćdziesiąt trzy lata. W roku 2009 ojciec obchodził dziewięćdziesiąte czwarte, a Maria dziewięćdziesiąte siódme urodziny. Mimo, że jest starsza, cieszy się lepszą pamięcią od ojca. To właśnie ona spędziła najmłodsze lata w pobliżu źródeł Bugu, w leśniczówce swojego ojca, a mego pradziadka.

Nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Przekroczyłem wprawdzie kilka razy Bug, ale nie dotarłem do źródeł rzeki. Czytam więc, by sobie rozszerzyć horyzont, *Przewodnik po Galicji* opracowany przez Orłowicza i wydany w 1914 roku. Na stronie 98 i 99 odnajduję opis pasma Woroniaków, czyli wzgórz, które *stanowią północną krawędź*

wyżyny podolskiej i biegną od Gołogór ku Krzemieńcowi. Miejscowości takie, jak Biały Kamień, Podkamień, Olesko, Podhorce, Pieniaki i Huta Pieniacka leżą właśnie w pobliżu źródeł Bugu. A także rozległa wieś Gawareczyzna, na skraju której była leśniczówka pradziadka.

Wieś założona została jako osada garncarzy produkujących czarną ceramikę. Przed drugą wojną światową ludność w dalszym ciągu zajmowała się garncarstwem. Na południowym zboczu Woroniaków, nad Bugiem, około pięciu kilometrów na południowy zachód od Gawareczyzny, leży niewielkie miasto Biały Kamień z kościołem fundowanym przez Wiśniowieckich. Na wschód od miasta są ruiny zamku zbudowanego w siedemnastym wieku przez Jerzego Wiśniowieckiego, a zniszczonego przez Turków i Tatarów. Jerzy Wiśniowiecki podejmował tam Jana Kazimierza podczas królewskiego pochodu na oblężony Zbaraż. Orłowicz podkreśla, że ze zrujnowanych murów i baszty rozciąga się piękny widok. Na północy, po drugiej stronie rozległego lasu, leży wieś Terebieże. W prostej linii na południe, po prawej stronie Bugu, wznosi się Święta Góra, a po drugiej stronie rzeki trzy inne szczyty. Na płaskim szczycie góry wytryska źródło, którego wodzie okoliczni mieszkańcy przypisywali cudowne właściwości. Pradziadek Józef najwidoczniej też wierzył w świętość góry i źródła, bo pracując wytrwale przez kilka lat zbudował z okolicznych kamieni kapliczkę i ustawił w niej małą figurkę Matki Bożej. Do tego miejsca cała rodzina chodziła często na spacer, co zostało uwiecznione na kilku ocalałych fotografiach. Najlepsza z nich przedstawia mężczyznę z długą białą brodą, młodą kobietę i dwójkę dzieci. To Józef, jego druga żona Helena, córka Marysia i syn Czesław.

Marysia, dziś dziewięćdziesięciosiedmioletnia staruszka, wspomina te spacer, z rozrzewnieniem, zwłaszcza teraz, gdy do pobliskiego kościoła Jezuitów w Jarosławiu trudno jej dojść bez czyjejś pomocy.

Podczas mojej parodniowej wizyty wspominała nie tylko spacer na Świętą Górę. Długo opowiadała o nocnej wędrówce przez las latem 1918 roku. Miała wtedy pięć lat. Pewnej nocy matka zbudziła ją i brata, kazała szybko się ubrać, w czym pomagała niania, Różia. Ubranych, ale zaspanym wciąż dzieciom, rodzice wyjaśnili, że muszą natychmiast udać się w długą i niebezpieczną podróż. Dzieci miały się zachowywać bardzo grzecznie i cicho, zwłaszcza podczas marszu przez las. Matka

wzięła ręczny bagaż, ojciec latarkę i laskę, gajowy usadowił na plecach Czesia, a Marysia znalazła się na plecach niani. Po chwili cała szóstka nocnych wędrowników opuściła dom i weszła na leśną ścieżkę. Pięcioletnia Marysia bała się, ale nie płakała. Wpatrywała się w słabe światełko latarki, którą niósł ojciec. Szedł przodem, oświetlał ścieżkę. Światełko żywego ognia migotało zza szybek latarki, raz ginęło za postacią ojca, to znów pojawiało się, a jego pojawienie się dodawało dziecku otuchy. Z głębi lasu dochodziły trzaski łamanych gałęzi, a wędrowcy nie wiedzieli, czy czai się tam zwierz, czy człowiek. Trzaski mieszały się z szelestem igliwia oraz liści rozgniatanych pod stopami idących. Gdyby miała o kilka, może kilkanaście lat więcej, Marysia umiałaby zapewne opisać wierszem te wędrówkę, tak jak umiał jej ojciec. Może byłyby to wiersze podobne do takiego na przykład utworu.

Co to za dziwne dobiegają głosy,

kiedy nad głową cała puszcza szumi i swych pokoleń opowiada losy.[...]

Puszcza - to wielka jest natury księga!

Niema - a mówi kto ją duchem pyta

i kto do dziejów i natury sięga,

z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta.

Albo inaczej.

Przez tę ciszę twoją,

zaklinam ciebie,

niech mnie ukoją

twe szумы.

I jeszcze inaczej.

Idzie noc srebrna, zadumana,

*osnuta siecią mgieł pajęczą,
a przed nią boru czarna ściana
zamykająca świat obręczą.*

*A przed nią stare szumią drzewa, sosny srebrnieją od księżyca,
ciepły już z dala wiatr zawiewa, pachnie jałowiec i żywica.*

*Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
wkoło się jodły modląc chwieją, sosny zielone chylą głowy,
czar tajemniczy idzie knieją.*

Tak pisali rozmaici poeci, a ojciec Marysi pisał podobne wiersze o podolskich jarach, o lesie. Ale o tym dowiedzieć się miała dopiero po latach.



Marysia nie pytała dokąd zmiierzają. Wyczuwała skupienie i lęk dorosłych, sama też bała się coraz bardziej. Trzymała się kurczowo ramion niani, aż ta musiała czasem

delikatnie rozluźnić jej zaciśnięte piąstki. Marsz w niczym nie przypominał spacerów na Świętą Górę, ani innych wędrówek przez las lub dnem jaru. Wędrowali długo, a dzieciom wydawało się, że wędrówka nigdy się nie skończy. Wreszcie doszli do stacji kolejowej w miejscowości Ożydów i wsiedli do pociągu jadącego do Przemyśla, po drugiej stronie Bugu. Było to pierwsze przejście Marysi przez rzekę.

O Bugu, którego głębiny nie mierza

ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,

ni trzoda bliskiego pasterza

swawolnym pływaniem nie brudzi [...]

jak miło się wstuchać w twój szelest i gwary

pisał Maciej Kazimierz Sarbiewski. Zmęczonym i przerażonym wędrowcom rzeka nie była tym, czym była niegdyś, dla pasterzy i poetów, którzy opiewali pasterskie, pogodne życie. Wydać się mogła raczej rzeką, która

wszystko podzieli na wiosnę i jesień,

na zimy siwe, pory wszystkich lat. [...]

ujrzy nas i uniesie [...]

a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi [...]

i myją w niej krwawe dłonie ci, którzy zabili.

Późnym popołudniem zapukali do drzwi babci Marii na Zasaniu. Mieszkanie było już przepełnione, bo znaleźli w nim schronienie również inni uciekinierzy: wuj Stefan z żoną i córką w wieku Marysi. Pobyt u babci był dla trójki dzieci okresem nieoczekiwanych, a miłych wakacji, lecz dorośli martwili się o pozostawione mienie. Nie wiedzieli, czy będą mieli do czego wracać, kiedy niebezpieczeństwo minie. Docierały do nich groźne wieści. Dowiedzieli się, że ucieczkę podjęli w ostatniej chwili, bo nazajutrz rano splądrowano leśniczówkę pozostawiając tylko ciężkie

meble. Wiedzieli, że w razie gdyby zostali, ich los byłby przesądzony. Przypisywali ocalenie Opatrzności, która czuwała nad pielgrzymami do Świętej Góry.

Po powrocie przywitały ich uszkodzone, lecz własne ściany, przez okna mogli oglądać te same drzewa i krzewy. Kapliczkę znaleźli nieuszkodzoną, o czym przekonali się, gdy weszli na górę, by za ocalenie podziękować Matce Bożej. Życie potoczyło się dalej, jak toczy się rzeka, gdy minie stopnie wodospadów, a jej powierzchnia *ledwo się marszczy, gładka i równa, spokojna i cicha*. Lecz po nocnej wędrówce przez las Marysia nie od razu pozbyła się lęków. Gdy patrzyła na ścianę lasu za domem, wcale nie miała ochoty wchodzić na żadną leśną ścieżkę. Dziecinne strachy musiały ustąpić jednak przed obowiązkami szkolnymi. Marysia zaczęła chodzić do szkoły w Gawarzeczyźnie, a potem w Białym Kamieniu. Z Gawareczyzny do Białego Kamienia było nieco bliżej niż do stacji kolejowej w Ozydowie. Szło się na południowy zachód, a nie na północ, lecz także trzeba było przejść przez okoliczne lasy. Marysia nie chodziła długo do tej szkoły. Widząc każdego ranka niechęć do wyjścia z domu i zmęczenie po każdym szkolnym dniu, rodzice zdecydowali umieścić Marysię w zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Ale i to rozwiązanie okazało się zbyt uciążliwe dla wrażliwej i wątłej dziewczynki. Do czwartej klasy Marysia poszła w Tarnopolu, gdzie mieszkał starszy syn ojca z pierwszego małżeństwa, Bronisław. Było to dość duże miasto liczące, według Orłowicza, około trzydziestu pięciu tysięcy mieszkańców. W mieście były trzy gimnazja, szkoła realna, szkoła przemysłowa, seminarium nauczycielskie oraz kilka szkół prywatnych.

Bronisław miał dobrą pracę jako inżynier w dyrekcji kolei, zajmował z żoną ładne, obszerne mieszkanie. Jego żona miała na imię Helena. Kilka lat wcześniej stracili własne dziecko, a Helena nie mogła mieć więcej dzieci. Wydawało się, że obecność Marysi w domu stryjostwa będzie dla wszystkich błogosławieństwem, lecz zamiast opiekuńczej troski, Helena zaczęła przejawiać wrogość wobec gościa. Jedyne siostra Heleny i jej matka były dobre dla Marysi. Przychodziły w odwiedziny dość często, starały się łagodzić sytuację. Zaczęły uczyć Marysię grać na pianinie, kupowały rozmaite smakołyki, w zimie wypożyczały dla niej łyżwy i zabierały na tarnopolską ślizgawkę. Ich zabiegi okazały się jednak mało skuteczne, bo Helena miast coraz mniej, coraz bardziej dokuczała dziecku. W końcu rodzice postanowili zabrać córkę do domu, choć to wiązało się z koniecznością przedwczesnego zakończenia edukacji.

W rodzicielskim domu wszystko wyglądało po staremu. Ojciec był niezwykle gościnnym człowiekiem, zapraszał rodzinę i znajomych, przyjmował na wakacje dzieci i młodzież. Lubił żartować i rozmawiać. Marysi nie brakowało więc towarzystwa. Mimo, że przeszedł na emeryturę jako nadzorca klasztornych lasów, w związku z czym rodzina musiała opuścić obszerną leśniczówkę i zamieszkać w małej gajówce, prowadził nadal gospodarstwo na dzierżawionych od klasztoru polach. Nie robił tego sam, ale podnajmował ziemię okolicznym rolnikom, a ci dzielili się z nim plonami. Urządzał też duże festyny na rynku w Białym Kamieniu, które gromadziły tłumy uczestników z okolicznych miejscowości. Oprócz jarmarcznych gier i zabaw, sprzedawano czarną ceramikę z warsztatów gawareckich rzemieślników oraz produkty pól i lasów. Niestety, ojciec zmarł po dwunastu latach od przejścia na emeryturę, a Siostry Miłosierdzia nakazały rodzinie opuścić gajówkę w ciągu dwóch tygodni.

Śmierć ojca nastąpiła w roku, w którym kończyła się umowa dzierżawy, tak, jakby dzierżawa ziemi i życie były związane ze sobą. Jakby praca i życie były nieodłączną całością, a gdy zabrakło możliwości pracy, zabrakło też chęci do życia. Po pogrzebie znaleziono wśród papierów leśniczego długi wiersz, w którym skarżył się na los, przewidywał taki właśnie koniec swego ziemskiego bytowania. Marysia razem z matką i bratem przeniosły się w 1936 roku do Złoczowa. Było to miasto liczące, jak nadmienia Orłowicz, trzynaście tysięcy mieszkańców. W siedemnastym wieku należało do rodziny Sobieskich. W podziemiach kościoła przekształconego w 1836 roku na cerkiew były grobowce sióstr Jana III. Podczas ostatnich wakacji na Gawareczyźnie Marysia z rodziną odwiedziły też zamek Sobieskich w Podhorcach. Zachowało się kilka fotografii z tego ostatniego spaceru po okolicy. Na jednej z nich jest wielka studnia podobna do tej, która była koło leśniczówki. Na drugiej widoczna jest grupka trzech młodych kobiet w jasnych sukienkach, za nimi stoi Marysia w ciemnej sukience. W tle kopuła kościoła świętego Józefa.



Jednak tuż po Pierwszej Wojnie Światowej obywatele miasta nie mogli cieszyć się pokojem. O tym epizodzie historycznym przypomina wydana w 1921 roku przechowana przez rodzinę broszura pod tytułem *Z krwawych dni Złoczowa 1919 roku*. Są w niej zamieszczone relacje naocznych świadków przesłuchań, więziennych tortur i egzekucji. Władysław Pieniążek, były kapitan wojsk austriackich, został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu. Podczas przesłuchań zarzucano mu, że *na wypadek zbliżania się wojsk polskich do Złoczowa miał na czele polskiego oddziału wpaść na tyły ukraińskie*. Gdy próbował tłumaczyć, że planu takiego nie było, został zakrzyczany przez prowadzących przesłuchanie wojskowych ukraińskich (*my wże wsio znajemo*), a następnie odprowadzony do kaźni. Został tam, jak pisze, skatowanego wcześniej notariusza Sawickiego i innych znajomych aresztowanych pod rozmaitymi absurdalnymi zarzutami. Sąd działał szybko, a sędzeni byli pozbawieni możliwości wypowiedzi. Franciszek Jarzębski, zwrotniczy kolejowy, został aresztowany pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji kolejarzy, która miała rzekomo wysadzać mosty. Jarzębski wspomina, że następnego dnia, gdy znalazł się w celi po okrutnym pobiciu, wezwano na rozprawę sądową dwudziestu współtowarzyszy. Po rozprawie wszyscy wrócili jeszcze do celi, ale około dziesiątej wieczorem wyprowadzono pięciu, a pozostali usłyszeli salwy plutonu egzekucyjnego.

W więzieniu złoczowskim znalazły się też kobiety. Dozorczynie więzienia wspomina, że aresztantki, słysząc salwy plutonów egzekucyjnych mdlały, a oficer, którego prosiły o pomoc przy cuceniu omdlałych śmiał się i twierdził, że tak będzie jeszcze przez tydzień lub dwa, więc zdążą się przyzwyczaić.



Zamek Sobieskiego w Podhorcach.

Kiedy Marysia znalazła się w Złoczowie, echa tamtych *krwawych dni* już przebrzmiały, miasto znowu tętniło życiem. Wieczorami ulice zapełniały się eleganckimi spacerowiczami, którzy czuli się bezpiecznie do późnych godzin. Już wcześniej zamieszkał w mieście starszy brat Marysi, Czesław, który był zawodowym wojskowym. Marysia zaczęła spotykać znajomych brata, nawiązywać przyjaźnie. Z grupką znajomych odbywali spacery po mieście, chodzili do kina i na koncerty. Poznała też pewnego młodego człowieka, z którym spodziewała się połączyć swe losy w przyszłości. Miał na imię Władysław, ale na kilku zachowanych zdjęciach Marysia zapisała zdrobniałą formę imienia: Władek. Był nieco wyższy od Marysi, szczupły, miał ciemne włosy, krótko przystrzyżone wąsy i nosił okulary. Marysia mogła o nim pomyśleć strofami jednego z wierszy Bohdana Zaleskiego:

Wzniosły, smukły i młody,

o! nielada urody;

śliczny chłopiec – czego chcesz?

Czarny wąsik! biała płęć.

Każde słówko, co powie,

lgnie mi w sercu i w głowie.

Śliczny chłopiec - czego chcieć?

Czarny wąsik, biała płęć.

Nuciła sobie te słowa do melodii skomponowanej przez Chopina, a nazwanej *Canto Polaco (Opus 74 nr 8)*.

Władek był kolegą Gienka, jednego ze złoczowskich przyjaciół, późniejszego dowódcy oddziału Armii Krajowej, w którym znalazła się też Marysia. Na zimowym zdjęciu Gienek stoi obok Marysi w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, na głowie ma ciemny kapelusz. Na innym zdjęciu z wiosny 1937 roku idzie z trójką dziewcząt, z Marysią przy prawym ramieniu. Jest ubrany w ciemny garnitur, sweter i krawat. Twarze idących rozpromienia wiosenny uśmiech. Na zdjęciu z dwudziestego listopada 1938 roku Władek stoi razem z trzema mężczyznami za ławką w parku, na której przysiedli trzej inni koledzy. Mężczyźni bez towarzystwa kobiet są poważni, nie uśmiechają się.

Spokojne spacerowanie ulicami Złoczowa nie trwały jednak długo. Wszelkie plany Marysi o radosnej i spokojnej przyszłości legły w gruzach we wrześniu 1939 roku. Do miasta wkroczyły wojska sowieckie, zaczął się znowu terror. Mnożyły się aresztowania znaczących rodzin, więźniowie byli torturowani, rozstrzeliwani, a ci aresztanci, którym udało się przeżyć byli zsyłani z rodzinami na Syberię. Zamiast na skwery, koncerty i do kina, mieszkańcy chodzili codziennie na dworzec kolejowy, by sprawdzić czy podstawiono wagony z tak zwanymi *kominkami*, przeznaczone do dalekiej podróży w głąb Kraju Rad. Nie było łatwo odnaleźć krewnych i znajomych, bo grupy zesłańców liczyły zwykle po sto lub nawet dwieście osób. Na dworcu rozgrywały się dramatyczne sceny. W mieście panowały strach i rozpacz.

Marysia mieszkała sama z matką. Brat Czesław brał udział w obronnych bitwach na Śląsku, dostał się do niemieckiej niewoli, lecz zdołał uciec i do końca wojny ukrywał

się w majątku krewnych koło Jarosławia. Wiadomość o tym dotarła do rodziny dopiero po wielu miesiącach. Na początku wojny matka i siostra nie wiedziały, czy przeżył i co się z nim stało, potem drżały wciąż o jego los. Same też były zawsze przygotowane, że do drzwi ich mieszkania zapuka NKWD. W przedpokoju stał podręczny bagaż. Marysia i matka dowiadywały się raz po raz, że znajomych ubywa, że tego aresztowano, tamtego rozstrzelano, inni zostali wywiezieni lub są zagrożeni. Doczekały się tego, że do ich mieszkania zostali dokwaterowani Sowieci, zajęli pokoje, a one musiały pomieścić się w małej kuchni.

Represje rodziły opór. Młodzi mężczyźni wstępowali do Armii Krajowej. Za przykładem Gienka również Marysia złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim Apolina. Przeszła przeszkolenie, nauczyła się posługiwać bronią krótką, długą oraz granatami. Poznała też metody konspiracyjnego porozumiewania się między poszczególnymi grupami bojowymi. Do jej obowiązków należało utrzymanie łączności między dowództwem okręgu, a komendami powiatowymi w Przemyślanach, Brodach, Krasnem, Busku, Zborowie, Złoczowie i Tarnopolu. Przewoziła rozkazy wojskowe, mapy sztabowe z oznaczonymi rejonami działań lub zrzutów, plany akcji, dokumenty personalne dotyczące awansów, odznaczeń, a także prasę konspiracyjną. Matka, wnuczka powstańca z 1863 roku, wiedziała o działalności Marysi, ale nigdy nie oponowała. Wędrowała po województwie tarnopolskim z fałszywymi dokumentami osobistymi. Pewnego razu miała dostarczyć bardzo ważny i pilny meldunek. Aby go dowieźć na czas, musiała wsiąść do pociągu na dworcu w Złoczowie. Kiedy tam dotarła, zobaczyła, że dworzec obstawiony jest przez niemieckich żołnierzy. Gdy pociąg ruszał, szybko przebiegła przez tory i wskoczyła do pociągu. Na szczęście żaden z żołnierzy nie zareagował, a dowódca jej oddziału, który obserwował skok, mógł odetchnąć z ulgą. W listopadzie 1943 roku komendant okręgu tarnopolskiego odznaczył Marysię Krzyżem Walecznych i nadał jej stopień plutonowego. Po jakimś czasie przełożeni uznali, że należy przenieść Marysię do pracy w zaopatrzeniu. Nowa praca wymagała zdolności organizacyjnych, Marysia miała dbać o to, by grupy bojowe otrzymywały dostawy na czas. Przez ręce Marysi przepływała żywność, leki i broń.

Gdy ruszyło niemieckie natarcie na wschód, dom, w którym Marysia mieszkała z matką, znalazł się w rejonie nalotów i bombardowań, w strefie szczególnego zagrożenia. Marysia zapamiętała szczególnie jeden bombowy nalot. Pożar wybuchł w

sąsiednim domu, przerażona sąsiadka przybiegła z prośbą o pomoc w ratowaniu dobytku. Wyrzucały we dwójkę przez okno, co tylko wpadło im w ręce, opróżniały szafy aż do momentu, gdy runął sufit. Uciekały w popłochu przez kuchnię ciągnąc za sobą ciężki kufer wypełniony odzieżą i pościelą. Gdy były w korytarzu, runął kolejny sufit, musiały porzucić ciężar i ratować się same. Gdy znalazły się na zewnątrz budynku, Marysia z przerażeniem zobaczyła, że jej budynek też stanął w ogniu. Na razie palił się tylko strych, matka wyrzucała przez okna ich rzeczy. Marysia rzuciła się na pomoc, wносиły teraz sprzęty do ogrodu. W pewnej chwili Marysia potknęła się i upadła na chodnik. Leżały tam fragmenty potłuczonego szkła, które boleśnie ją pokaleczyły. Nie było czasu ani możliwości usunąć wszystkich odłamków z głębokich ran. Skutki tych okaleczeń gnębią Marysię do dziś. Odczuwa ból, zwłaszcza, gdy wchodzi po schodach do swojego powojennego mieszkania.

Razem z sąsiadką i jej współlokatorką, wśród kłębow dymu z pogorzelska, spędziły noc w ogrodzie. Dopiero następnego dnia poszły do miasta, by szukać schronienia. Znalazły pokój u pewnej kobiety mieszkającej samotnie w dużym domu, ale po kilku dniach przybyła tam jej rodzina, która uciekła ze swojego domu w innym mieście, więc musiały się wyprowadzić. Podczas, gdy cieszyły się ze schronienia w trzecim z kolei miejscu, nadleciały znowu samoloty. Bomby zaczęły spadać w pobliżu, ludzie wybiegli z budynku i w popłochu kryli się wśród zarośli nad rzeką. Marysia z matką zdążyły dobiec do swojego domu, który uległ wprawdzie poważnym uszkodzeniom, ale nie trawiły go już płomienie, a piwnice były tam nienaruszone. Miały dobre przeczucie. Ci, którzy pobiegli nad rzekę, źle wybrali. Wprawdzie żadna z tych osób nie zginęła, ale wszyscy zostali ranni, bo samoloty siały bomby właśnie wzdłuż rzeki.

Wkrótce po tym nalocie do miasta wkroczyły niemieckie jednostki lądowe. Podczas przemieszczania się frontu mieszkańcy starali się pozostawać w ukryciu, dopiero potem zaczęli wychodzić z piwnic i rozglądać się po okolicy. Marysia i jej matka stwierdziły, że w ich domu brakuje w oknach szyb, zawaliły się fragmenty sufitu, nadpalił się strych. Pomimo tego miały zamiar tam powrócić, ale w ogrodzie znalazły świeży grób i choć nie wiedziały, kto w nim spoczął, nie chciały mieszkać w tym „sąsiedztwie”. Dowiedziały się, że w dużej willi siostry ich sąsiadki nie ma lokatorów, bo jej mąż został rozstrzelany przez Sowieców, a ona uciekła razem z dziećmi. Sowieccy żołnierze, którzy tam stacjonowali, zniszczyli wprawdzie i zrabowali sprzęty, ale można tam było mieszkać. Wysprzątały kuchnię oraz jeden pokój i przez

miesiąc mogły cieszyć się, że mają nad głową cały sufit, a nawet i dach. Willa zainteresowała jednak niemieckich okupantów i musiały się wyprowadzić. Przez całą wojnę tułały się z mieszkania do mieszkania, zagrzewając dłużej tylko w jednym miejscu. Był to niewielki dom daleko od centrum miasta, co miało tę zaletę, że żołnierze nie mieli zwyczaju tam zaglądać. Ponadto w przydomowym ogródku można było sadzić warzywa. Tam doczekały końca wojny. Gdy wojska niemieckie zaczęły się cofać, stało się jasne, że po nich przyjdą po raz drugi Sowieci. Kto ich poznał wcześniej, nie chciał doczekać ponownego spotkania. Po dziesięciu latach spędzonych w Złoczowie, Marysia i jej matka postanowiły wyruszyć znowu na Zachód, za Bug. Tym razem wiedziały, że wyruszają na zawsze. Wiedziały, jak wiedział poeta, że trzeba się modlić tak:

Jeno wyjmij mi z tych oczu

szkło bolesne - obraz dni,

które czaszki białe toczy

przez płonące łąki krwi.

Jeno odmień czas kaleki,

zakryj groby płaszczem rzeki,

zetrzyj z włosów pył bitewny,

tych lat gniewnych,

czarny pył.

Zezwolenie na wyjazd, które Marysia zdobyła, było dla dziesięciu osób, należało więc znaleźć osiem innych osób chętnych do ewakuacji. Nie było to trudne, choć niektórzy mieszkańcy Złoczowa wciąż się wahali, co robić w tej sytuacji. Problem polegał jednak na tym, że do wagonu mogli wejść tylko członkowie rodziny. Służby dworcowe zainteresowały się osobami zgromadzonymi przy wagonie, ujawnienie prawdziwych nazwisk wszystkich osób groziło śmiercią. Trzeba było działać szybko. Marysia wyjęła z podróżnego bagażu upieczonego na drogę królika i dała

urzędnikom. To na szczęście wystarczyło. Wreszcie, około piątej po południu, transport ruszył, a z nim uciekinierzy oraz ich dobytek. Ale gdy dotarli do Janowa, pociąg stanął. Okazało się, że Ukraińcy wysadzili tory. Parowóz wypadł z szyn, trzeba było sprowadzić inny i naprawić szyny. Dworzec w Janowie został też zbombardowany, ale pociąg zdołał odjechać i następnego dnia rano dojechał do Jarosławia. Na dworcu czekał brat matki Marysi, Stanisław, który kilka dni wcześniej przebył z rodziną tę samą drogę ze Złoczowa (do stacji w Złoczowie dotarł z Broszniowa, gdzie przed wojną był dyrektorem kopalni naftowej). Z Jarosławia udali się do Roźwienicy, majątku Górskich, w którym inny krewny był przed wojną zarządcą. Przywitał ich brat Marysi, Czesław, który w Roźwienicy ukrywał się od ucieczki z obozu jenieckiego.

Marysia czekała teraz już tylko na jedno spotkanie: spotkanie z tym chłopcem, którego opisywała sobie słowami Zaleskiego, w takt pieśni Chopina. Czas mijał, ale Władek, który obiecał odszukać ją zaraz po wojnie, nie zjawiał się. Wśród osób z pociągu był jednak inny młody człowiek, uciekinier z Gawareczyny, kolega Władka i Gienka z oddziału Armii Krajowej, Franek. To smutny, barczysty mężczyzna sfotografowany na ławce w złoczowskim parku w 1938 roku. Wspomnienia i wspólna podróż zbliżyły ich do siebie. Franek odważył się poprosić Marysię o rękę i został przyjęty. Wkrótce po ślubie w kościele w Rudosławicach Marysia i Franek przenieśli się do Jarosławia, gdyż majątek roźwienicki przestał być majątkiem Górskich i przestał być dla nich domem.



W powojennym Jarosławiu życie było trudne. Nawet stali mieszkańcy nie mieli dobrych warunków mieszkaniowych, a co dopiero ci, którzy przybywali z okolic miasta. Marysia i Franek znaleźli jednak pracę i powoli zaczęli remontować przyznane mieszkanie. Kiedy ich po raz pierwszy odwiedziłem, a było to dopiero po mojej maturze, Franek zaprowadził mnie na brzeg urwiska nad Sanem. Wskazał ręką przed siebie. – Tam jest Lwów – powiedział. Nie powiedział nic o Gawareczyźnie. Tęte wspomnienia były zbyt bolesne. Nie przypuszczałem wtedy jak bardzo. Nie wiedziałem, że szeroka, głęboka studnia przy leśniczówce pradziadków stała się grobem dla wielu mieszkańców Gawareczyny. Nocami, gdy nie mogła spać, Marysia wspominała sąsiadów, których nie ma: Bałuczyńskich, Bakusiewiczów, Bednarskich, Borodyńskich, Czosnykowskich, Garbozińskich, Jureczko, Jurkiewiczów, Kupińskich, Kutyńskich, Kuziemskich, Leśniowskich, Łabuńskich, Manowitów, Mitulińskich, Muszyńskich, Szuszańskich i Wiślińskich.

Franek nie cieszył się dobrym zdrowiem. Życie nie rozpieszczało ułomnego chłopca z biednej rodziny, a warunki okupacji, działalność w Armii Krajowej, dodatkowo nadszarpnęły wątłe siły. Ostatnie lata przeżył w cierpieniu, wymagał intensywnej

opieki, a rok po przeprowadzce do nowego mieszkania zmarł. Natomiast ukochana i dzielna matka Marysi dożyła swych setnych urodzin, a zmarła w wieku 104 lat. Marysia została sama. Żyła spokojnie, z radością przyjmowała gości. Wyjmowała czasem z szuflady w starym kredensie jeden z ocalałych wierszy ojca pod tytułem *Skarga* i czytała.

W głębokim jarze, śniegiem zawianym,

siedzę samotny i zadumany.

Każde wspomnienie serce me smuci,

jak było dawniej, to już nie wróci.

Nie trać nadziei,

mówi duch przyrody,

wiosna zawita, spłyną śniegi, lody,

a promień słońca duszę Twą ogrzeje.

Wiersz został napisany w 1907 roku, jeszcze przed ślubem z Heleną, matką Marysi. A przechowywany był w kredensie, który Józef zamówił u wędrownych cieśli. Kredens i parę innych mebli z tego samego drewna udało się uratować z pożogi wojennej. Zostały przewiezione z Gawareczyny do Złoczowa, potem ze Złoczowa do Jarosławia. Były uszkodzone, ale spełniały swoje funkcje. Ciemne drewno ze starej gruszy wyglądało elegancko, lepiej niż powojenne krzesła i sprzęt kuchenny. Kiedy zachodzące słońce wpadało przez oszklone drzwi małego balkonu, widać było na powierzchni drewna rozmaite zadrapania. *Ale to nic* – wyjaśniała Marysia. *Na nowszym stole nie ma wprawdzie zadrapań, lecz nie widać też historii* – dodawała. Zmarła w wieku 102 lat.

Słońce, co złotem gaje powleka,

pełne uroku jako przyjaźń człeka;

*tam zszedł błogo życia początek,
tam jest mój luby rodzinny kątek [...]
Pod drzewem domek dziada, pradziada,
tam mnie na ręku nosiła matka;
wszystko się sercu tak mile śmiało,
wszystko, com kochał, tam pozostało,*

mogłaby recytować za Wincentym Polem. Wszystko, ale nie ten kredens, ta szafa i dwie mniejsze szafki. Te stare meble przypominały Marysi pokoje w leśniczówce, starannie przecierała je co parę dni ściereczką od kurzu. W szufladach panował wzorowy porządek. Nie było jednak na półkach ani tomiku wierszy Pola, ani tomiku z wierszem Zaleskiego. Ani broszury o Złoczowie wydanej w 1921 roku. Te książki stoją na moich półkach, to ja mam je czytać i o nich pamiętać. Jak i wiersz Słowackiego o aniołach.

*Anioły stoją na rodzinnych polach
i chcąc powitać lecą w nasze strony,
ludzie schyleni w nędzy i niedolach
cierniowemi się kłaniają korony,
idą i szyki witają podrózne,
i o miecz proszą tak jak o jałmużnę.*

*Rzeko z cudzoziemców strony,
czemu nurt twój tak zmaczony?*

czy się gdzie zapadły brzegi,

czy stopniały stare, stare śniegi?

napisał Stefan Witwicki, autor między innymi parafrazy Mazurka Dąbrowskiego. Chopin skomponował do tych słów pieśń, która płynie przejmującymi tonami cichego lamentu. Mickiewicz cenił poezję Witkiewicza. Pisał o jednym z jego artykułów, że jest *wyborny, stylem wcale nie warszawskim, bo czystym, jasnym i mocnym*. „Smutna rzeka” Witwickiego i Chopina *śpiewa żałosne pieśń* o spotkaniach z duchami, wtóruje aniołom Słowackiego.

Ryszard T. Sawicki, *W Jarze*:

<https://www.cultureave.com/w-jarze/>

Śląszczyzna - Ojczyzna

Dr Bożena Cząstka-Szymon - polonistka, językoznawca, współautorka „Małego słownika gwary śląskiej”.



Bożena Cząstka-Szymon, fot. Tomasz Jodłowski.

Marek Baster:

Co to jest *jaźwiec*?

Bożena Cząstka-Szymon:

W staropolszczyźnie to był borsuk.

Moja babcia na borsuka mówiła *jaźwiec*. A nie ma go w słowniku gwary śląskiej.

Bo nasz „Mały słownik gwary śląskiej” jest po prostu... mały. Nie rejestruje słów rzadko używanych bądź wychodzących z użycia. Takie znajdzie pan zapewne w dużym słowniku ślasczyzny pod redakcją prof. Wyderki z Uniwersytetu Opolskiego.

Czy językoznawcy zmierzili, w jakim stopniu gwara śląska jest polska, a ile w niej wpływów niemieckich, ile czeskich?

Śląski jest jak rzeka, do której dołączało wiele dopływów. Prace prof. Nitscha, Bąka czy Rosponda potwierdziły jednoznacznie, że dialekt śląski bierze się z pnia polskiego. Widać to na przykładzie najstarszych słów zapisanych po polsku w „księdze henrykowskiej”. Tradycja każe nam mówić, że słynne „Daj, ac ja pobruczę, a ty poczywaj”, to jest już język polski. Ale równie dobrze były to pierwsze słowa zapisane po śląsku! Bo z pewną dozą wyobraźni można przyjąć, że wypowiedział je czeski chłop do swojej polskiej żony, a zapisał – to już wiemy na pewno – opat Piotr, syn niemieckich kolonistów.

Zdanie ma konstrukcję polską, staropolską, a jeśli tak, to posiada tym samym konstrukcję starośląską. Więc i śląską. Prof. Miodek słusznie mówi, że polszczyzna śląska jest najbardziej archaiczną polszczyzną. Przekonują o tym badania językoznawców. Jeśli uczciwie i rzetelnie zapisują śląski dialekt, otrzymują zawsze słowa i składnię typowo staropolską. Śląszczyzna przechowała ich wiele, na przykład „o” pochylone czy samogłoski nosowe, których we współczesnym języku polskim dawno już nie ma.

To jak jest z tymi procentami, które by mogły przeciwstawić się tym, co podejrzewają gwara śląską o nadmiernie zniemczenie?

Zawsze odpowiadam na takie pytanie przykładem języka angielskiego. Podobno jest w nim połowa słów, wprawdzie przetransponowanych, ale pochodzenia łacińskiego. Czy angielski jest przez to mniej angielski? Profesor Lehr-Spławiński znalazł w języku polskim 1800 wyrazów o rodowodzie słowiańskim. To tylko jakieś dziesięć procent słownictwa współczesnego wykształconego Polaka. Nawet taki „arcypolski” chleb pochodzi ze starogermańskiego... Czy to znaczy, że nie mówimy po polsku? Nie, każdy żywy język wchłania pewną liczbę wyrazów obcych. Gwara śląska, z powodów historycznych, przyjęła ich niewątpliwie więcej niż inne.

Gwara czy dialekt?

Potocznie mówimy o gwarze śląskiej, ale to jednak jest dialekt – jeden z pięciu polskich dialektów. Obok śląskiego, mamy jeszcze dialekt małopolski, wielkopolski,

mazowiecki i kaszubski. Śląski obejmuje dość duży obszar, od terenów bogumińskich i Czadeczczyzny na południu, z Mostami i Łomną, aż po Wielkopolskę.

I mówi pani, że gdyby ostatni Jagiellon wstał z grobu, najłatwiej byłoby mu porozumieć się na Śląsku?

Owszem, bo śląski to typ gwary konserwatywnej. Generalnie najmniej zmieniona gwara pozostała na terenach rolniczych, gdzie nie było potrzeby inaczej nazywać przedmiotów, których używano z dziada pradziada. Tam, gdzie przyszła rewolucja przemysłowa, za czasów pruskich, przyniesiona przez żywioł niemieckojęzyczny – tam siłą rzeczy słów pochodzenia niemieckiego jest więcej. Każde *novum* technologiczne, w hucie czy w kopalni, otrzymywało nazwę, którą ze sobą przyniosło. Ale wszystkie te słowa zostały przyswojone. W śląszczyźnie się odmieniają i tworzą, na wzór polski, nowe wyrazy. Po śląsku jest *knefel*, ale i *kneflik* oraz *knefliczek*.

Od kiedy gwara przestała być wyznacznikiem niższego statusu społecznego?

Ja nie wiem, czy tak było w rzeczywistości. Sama często używałam i używam wyrażeń gwarowych. Ziętek też mówił po śląsku, Gierkowi to nie przeszkadzało.

Ale przecież dopiero od 1989 roku ludzie wykształceni przestali się krępować gwary. Teraz i poseł sypnie śląskim dowcipem, i prezydent miasta...

Tak się mówi, ale to chyba nieprawda. To jest pewnie kwestia otwartości, śmiałości, albo raczej jej braku. My to wciąż mamy w sobie. Kiedy na pierwszych zajęciach ze studentami pytam, kto zna gwarę śląską, prawie nikt się nie odzywa; może pięć, może osiem procent się przyznaje do śląskości. Inaczej pod koniec zajęć, kiedy okazuje się, że jednak Ślązacy rodowici są większością. Ale tak się dzieje dopiero wtedy, kiedy przestali się tego wstydzić, kiedy zobaczyli, ile jest w ich domowym języku słów arcy polskich, o których współczesna polszczyzna dawno zapomniała.

Zawsze było tak, że obok siebie funkcjonują kultura wysoka i niska. Od tej niskiej się odchodzi, ku tej wysokiej się aspiruje. To jest zjawisko historyczne. Pod Krosnem, z małej wioski, wyszedł z biedy wybitny polonista prof. Pigoń. Trudno sobie wyobrazić, żeby na uniwersytecie używał gwary. Jak ktoś wychodzi ze swojego regionu i dąży do kultury wysokiej, musi posługiwać się ogólną polszczyzną. Więc ci wszyscy

Pigoniowie, Kawalcowie i Morcinkowie albo się wyzbywali gwary, albo zachowywali ją tylko do użytku domowego. A to, jak się mówi u siebie w domu, to inna sprawa.

Gwara wzbogaca?

Tak, jeżeli nie dochodzi do zakłóceń między językiem ogólnopolskim, standardowym, a gwarą. Nie można zakazać posługiwania się gwarą nawet w sytuacjach oficjalnych, bo to jest język naturalny. Ale już próby wprowadzenia dialektu śląskiego do urzędu mijają się z celem. Byłam kiedyś na takim spotkaniu Związku Górnośląskiego, na którym ówczesny szef związku zastanawiał się, jakby to było pięknie, gdyby po śląsku mogły powstawać prace naukowe! A jak pan sobie wyobraża na przykład pracę naukową, pisaną gwarą? Jaką gwarą - tę spod Opola czy z Rudy Śląskiej, a może tę cieszyńską - podniesie pan do rangi urzędowej śląszczyzny? Po co się zatrzymywać - może pisać literaturę po śląsku?... To byłaby praca hermetyczna, zrozumiała tylko dla mieszkańców Zabrze i Rudy, ale już w Bytomiu czy Gliwicach byłoby trudniej. Bo Ruda nie mazurzy, a Bytom tak.

Ktoś zaczął pisać Biblię po śląsku.

Jeśli robi się to w kategoriach ciekawostki, na prywatny użytek, to bardzo proszę. Ale bez naruszania granicy między dialektem a językiem ogólnopolskim. I bez udowadniania na siłę ahistorycznej tezy, że na Śląsku modlono się po śląsku. Nie, na Śląsku językiem urzędowym był niemiecki, domowym - dialekt śląski w jego różnych odmianach, a językiem modlitwy był język polski. Pokazuje to chociażby śląski językoznawca R. Olesch. W wydanej po niemiecku pracy o gwarze z Góry Św. Anny, zapisał modlitwy w wersji fonetycznej. One brzmią po polsku: „Łojcze nasz, któryś jest w niebie, świynć się imiyn twojy...”.

Może jest tak, że po latach krępowania, dziś się gwarę wywyższa?

Byli tacy zwolennicy myślenia życzeniowego, co chcieli podnieść prestiż gwary i stworzyć z niej język ogólny.

Bo musieli odreagować to, że pani w szkole krzyczała na nich: Mówcie ładnie po polsku!

Powinna była mówić: na przerwie, z rówieśnikami mów jak chcesz. - tak jak mówisz

w domu, z rodzicami. Że tak się nie działo, winna była nie tyle szkoła, co ludzie, którzy nie potrafili z dziećmi pracować. Tam, gdzie nauczycielem był prawdziwy pedagog, to się nie zdarzało. Bo rolą polonisty jest przygotowanie człowieka do posługiwania się poprawną polszczyzną, żeby mógł żyć w swoim państwie. Ale też, żeby szanował swoją gwara, regionalizmy. Ci Ślązacy, którzy trafili na dobrych nauczycieli, którzy pracowali nad swoją polszczyzną, są tak dobrze przygotowani, że są wręcz nierozpoznawalni językowo w innych dzielnicach. Ani po intonacji, ani po akcencie. Z mojej szkoły w miejscowości, w której mieszkało 90 procent Ślązaków, wyszedł m.in. biskup tarnowski Wiktor Skworec, którego polszczyzna jest naprawdę piękna. A on przecież w domu mówił gwarą... Sama pamiętam, jak prof. Bajerowa lubiła pochylać się nad ciekawymi śląskimi słowami, mówiła wręcz do nas, studentów: A mówcie wy sobie - *grziwka*, *krziż*, przecież to takie piękne, staropolskie...

Proszę iść do sklepu w centrum Katowic i poprosić o kilo hawerfloków.

Zdziwię pana, ale mam już za sobą taki test. Przyjechała do mnie koleżanka z Kaszub. Też językoznawca. Zastanawiała się, na ile gwara śląska jest jeszcze żywa i rozumiała. Poszłyśmy do katowickich delikatesów. Stałam przed ekspedientką i powiedziałam: *Pani, dejcie mi pół funta oplepeków*. Ku jej wielkiemu zdziwieniu, dostałam to, o co prosiłam. I do dziś nie wiem, czy rozmawiałam z rodowitą Ślązaczką, czy tylko z osobą przyzwyczajoną do wsłuchiwania się w gwara. To świadczy o tym, że gwara ma silną pozycję społeczną. Nie tylko zaplecze historyczne, ale także wielkie zaplecze emocjonalne. Cieszy renesans śląskiego śpiewania i konkurs Ślązak Roku. Ludzie się z gwarą utożsamiają, bo chcą być skądś - nie skądkolwiek. Z tej ziemi, z ich ziemi.

Więc gwara nie skończy w skansenie?

Część słownictwa w oczywisty sposób zanika, ale gwara ma przed sobą przyszłość. I to także w okręgach najsilniej zurbanizowanych, gdzie wraz z rozwojem przemysłowym miasta wchłonęły ludność wiejską i w ten sposób w mieście zaczęło się mówić językiem wiejskim. Przyznaję, że większość słów w naszym słowniku pochodzi od osób starszych. Ale też są wśród naszych informatorów tacy, którzy z gwary wyszli i poszli w polszczyznę. Dla jednych i drugich gwara oznacza tożsamość,

bliskość i swojskość. Są wśród nich prof. Miodek i biskup pomorski Tomasz Jeż, którzy polszczyznę śląską poznali *na placu*. Co wcale nie znaczy, że się nią gorzej posługują od tych, którzy wynieśli gwarę z rodzinnego domu.

Marek Baster, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.

Pisarz, który nie zasłużył na zapomnienie. Jan Bielatowicz (1913-1965).

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Będąc jeszcze na studiach w Irlandii nawiązałem kontakt z londyńskim tygodnikiem „Życie” redagowanym przez szereg lat przez Jana Tokarskiego, a po nim Jana Bielatowicza. Tego ostatniego poznałem osobiście podczas jednej z wizyt w redakcji zapewne za pośrednictwem pracującego tam kolegi z Irlandii, krytyka i poety, Wojciecha Gniatczyńskiego.

Czy Bielatowicz był oryginałem? Na drzwiach pokoju redakcyjnego wisiała kartka z apelem do interesantów, aby, nim wejdą, zastanowili się nad celowością wizyty osobistej. Jeżeli nie była ona konieczna, to niech napiszą list, który redaktor mógł przeczytać w wygodnym dla siebie czasie. Jeżeli śmiałek przeszkodę pokonał, to zastał siedzącego nad stertą papierów czerstwego pana o rudej, kędzierzawej czuprynie. Ponoć w koszu redakcyjnym stała butelka z winem, z której dało się

pociągnąć trochę inspiracji.



Jan Bielatowicz, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Bielatowicz był autorem antologii poezji żołnierskiej, tomu opowiadań z czasów włoskiej kampanii i uroczych wspomnień z rodzimego Tarnowa pt. „Książeczka”. Ale najzwawiej władał piórem krytyka i to nie tylko w materii literackiej. Był sarmatą co się zowie i miał swoje predylekcje i antypatie. Przywiązany do tradycji i historii polskiej, stał się Rejtanem ich wartości podejrzliwie wężąc raz po raz wpływy moderny. Na tle bladej krytyki emigracyjnej był postacią kontrowersyjną i czupurną. Potrafił odsądzić od czci i wiary i tym samym szerokim gestem rozdawał laurki. I tak o powieści Józefa Mackiewicza „Droga donikąd” powiedział śmiało:

Jest to bowiem najpiękniej napisana powieść powojenna.

O tomiku Łobodowskiego „Z dymem pożarów”:

Jest to bowiem najpiękniejsza i najwznioślejsza liryka polska piętnastolecia, od dni klęski aż po dzień dzisiejszy.

Bielatowicz nie wyczerpał na tym zasobu superlatywów. Niedługo potem napisał o zbiorze wierszy Wierzyńskiego „Korzec maku”:

Jest to bodaj najwybitniejszy tom poezji polskiej, jaki pojawił się na obczyźnie po roku 1939.

Piszący te słowa także doczekał się pochwał za swoją twórczość naukową i przekładową. Nie znaczy to jednak, by Bielatowicz nie potrafił strofować poczynań np. grupy młodych pisarzy, do których wówczas należałem. Zresztą tolerancja pozwalała nam drukować jego cierpkie uwagi w naszym własnym piśmie „Kontynenty”, uwagi krytykujące naszą poezję i publicystykę. Na wieczorze poświęconym tematowi „Czy pogrzebać ‘Kontynenty’”, Bielatowicz bez ogródek zacytował Słowackiego:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy”. Dęby i pomniejszych drzewa starego lasu naszej literatury padają jedno po drugim, co rok, co miesiąc, co tydzień. Las tak już przerzedł, że można mówić raczej o reliktach. Czy więc nie czas porzucić ogródki działkowe i poetyckie poletka doświadczałne, a zająć miejsca tam, gdzie rośnie las? Czy nie czas stać się lasem?



Anglia. Jan Bielatowicz z żoną na spacerze, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny. Postawa twardego emigranta politycznego nie przeszkodziła Bielatowiczowi bardzo wcześnie zająć stanowisko odważne i światłe, gdy radził nie zrywać łączności z krajem.

...Jakaż zatem rolę pożyteczną dla całego narodu spełnić może jego emigracja? Śmiertelnym i samobójczym grzechem byłoby odwrócenie się od Kraju. Polska mimo niewoli nie przestała być ojczyzną naszej duszy. Żyje nadal, walczy, tworzy. Z czcią i zdumieniem podejmujemy na obczyźnie okruchy dochodzące z ojczyzny. Dochodzą stamtąd liczne świadectwa, że Polska nie przestała być twórczą i ambitną siostrą kultur zachodnich. Podstawą naszego działania kulturalnego musi pozostać twórczość w Kraju. W oderwaniu od niej bylibyśmy dla niej bezużyteczni.

Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć. Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi. Da on sobie radę z pokostem obcych wpływów, gdy przyjdzie stosowna chwila. Owszem powinniśmy przechować szacunek dla ideałów kultury i tradycji narodowej, ale nie wolno nam ulegać złudzeniom, że jesteśmy ich wyłącznymi kapłanami.

Artykuły i szkice rozproszone w gazetach i pismach czekają na wydanie książkowe, aczkolwiek w tomie „Literatura na emigracji” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970) żona pisarza zebrała niektóre teksty dotyczące zagadnień literackich. Powtórzę za nią ostatnie, skromne słowa jej wstępu:

Dobrze, że choć ta książka przypomni czytelnikowi pisarza emigracji – pisarza, który nie zasłużył na zapomnienie.



Tablica pamiątkowa na domu Jana Bielatowicza w Tarnobrzegu, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Wiersz „Pogrzeb ziemi”



fot. tapeciarnia.pl

Tadeusz Turkowski (USA)

Pogrzeb Ziemi

Słuchać jakby jakieś dzwony

Biły w niebie zrozpaczone.

A w tych dzwonach z całej siły

Biły serca Demonowe.

Czy pan słyszy, te hałasy?

I ten łomot niesłychany?

Wszechświat nagle znieruchomiał

Jak piorunem przeżegnany.

Jakby, dzwony się zmagaly

Z niebieskimi armatami -

Kto głośniejszy!

Jakby, złotym nieba wrotom

Dech ostatni odebrało.

Jakby z nieba na syrenach

Pogotowia przerażone

Gdzieś na pomoc wyruszyły.

Jakby czarnym dziurom w niebie

Kolory się pomyliły.

Jeszcze nigdy od zarania,

Nie widziano we wszechświecie

Podobnego zamieszania.

Jak to? Panie! To pan nie wie?

Wszechświat chowa świętą Ziemię!

Swoją córkę - jedynaczkę

Najpiękniejsze - swoje cacko.

Zmarła w nocy. Niespodzianie.

Wciąż nie mogę w to uwierzyć,

że nieboszczka w grobie leży.

Serce! Panie. Zakażenie.

Z rzek, z powietrza i strumieni!

Z braku cienia! Bo wycięli

Po kryjomu - wszystkie drzewa.

Sam widziałem w poniedziałek.

Gdy wracałem. Powalone

Jowiszowym huraganem.

Jak brat jeden albo siostra,

Konające w wielkiej męce

W ciszy, w smutku, bezszelestnie

Trzymające się za ręce.

Jeszcze w Piątek czule stały

Blisko siebie. I szumiały

Gałęziami między sobą -

Nam i ziemi i wszechświatu

Ulubione pieśni Boże.

Będąc pewne, że są częścią

Niebieskiego majestatu...

Nikt nie może się doliczyć

Ile, panie, drzew wycięli.

Drzewobójstwo niesłychane!

Pozbawili Ziemię cienia,

Ptaków domu, kwiatów woni!

Pozbawili Ziemię chłodu,

Kroplę rosy - pozbawili -

czystej wody!

Ludzkich dusz i dusz zwierzęcych

Pozbawili... złudy szczęścia.

Niech pan spojrzy. Wszędzie słupy!!!

Słupy - Trupy, wokół panie.

Cmentarz smukłych, wybujanych,

szumiejących, rozśpiewanych,

żywcom świętych, świętych, drzew

wymordowanych.

Liczbę ofiar się ocenia na Tryliardy

(czytaj: 10 do 44)

Tryliard świętych drzew wycięli.

A ostatnie - to Najświętsze

Święte drzewo... zbeszczyli.

święte Drzewo - zbeszczyli.

Nie ma po nim nawet śladu,

Drzewo zwiędło i zmarniało,

Od rozpusty i od grzechu.

Nazwa tylko pozostała,

Nad świętymi Aniołami...

Nam strapionym na pociechę.

Czyżby nikt nie zauważył?

Co wyprawia tu zuchwały

I bezmyślny człowiek mały?

Znikczemniony trzydziestoma

srebrnikami.

Otoczony handlarzami,

Przekupiony przez Szatana,

Był zajęty wojowaniem.

Od początku, od zarania,

Był zajęty wojowaniem.

Na usługach był Szatana.

Zburzył wszystko, porozbijał

Co zostało tu stworzone

Przez mądrzejszych, tu przed nami.

Nie pomyślał: że się zjawił

Tu na chwilę. I że srebro

tu zostawi.

Rozbój zaczął od atomu.

Rozbił atom. I rodzinę.

Zabił życie. A nie stworzył.

Zniszczył nawet to w co ziemia

Tak obficie obrodziła.

Prawdę z fałszem wymieszali

Białe z czarnym, czarne z białym.

Nie wiadomo teraz panie:

Co jest czarne, a co białe.

Co jest tłuste, a co chude

Co jest mądre, a co głupie.

Co jest łyse, a co rude.

Jak pod ścianą ci ustawią

Szereg pań ci nieznajomych

Nie rozpoznasz nawet twarzy

Twojej pierwszej ślubnej żony.

Jeden to podobno, panie,

Dwa tysiące miał kochanek.

Książkę nawet mu wydali. -

Listę "pań" z telefonami.

Szukał szczęścia? Na ulicy

Brukowanej?...

w "cudzysłowiu" z Madonnami.

Nic dziwnego, że nie znalazł.

Inny, w kosmos się wystrzelił

w swoim własnym samochodzie,

Zdażył jeszcze złapać w biegu

Swą najdroższą, ukochaną,

Złotą trumnę, wybijaną

Czerwonymi Rubinami.

Pojawiły się potwory

Chłopo-baby, babo-chłopy

Kolczyk w oku, kolczyk w uchu,

Tuzin pereł w każdej wardze.

Trzy w języku, cztery w brzuchu.

Niech pan może mi pomoże,

Tylko sobie wyobrazić

Noc poślubną tych dwóch panów...

Wypachnionych pachnidłami. -

I z końskimi ogonami...

Ja nie mogę.

Szczęścia trzeba szukać blisko.

Tu na Ziemi, nie daleko - Nienaziemi.

Szczęście szuka, zawsze szczęścia

Tam, gdzie komuś go brakuje,

Tam, gdzie widzi puste serce -

Chce zamieszkać, a nie w tłumie.

Nie w luksusach i diamentach...

Ale tam gdzie oprócz swego

Bije tęsknie inne serce.

Raz przypadkiem podsłuchałem

Jak dwa szczęścia rozmawiały,

że już były raz szczęśliwe

Ten raz jeden, raz jedyny,

Jak pragnęły, i jak chciały!

że na drugie albo trzecie

Nie ma miejsca i nie będzie,

że to pierwsze i jedyne

Wypełniło całą przestrzeń.

I czas cały. Teraźniejszy,

Przyszły, przeszły.

I żyć będzie, nawet wtedy,

Kiedy tam już nic nie będzie.

Szczęście na dotknięcie ręki

Było zawsze i czekało.

- U stóp twoich, się łąsiło...

Tylko ty go nie widziałeś

A co na to wszystko, Pan Bóg ?

Czy się zjawił na pogrzebie ?

Pan Bóg?...

Jedną tylko łzę uronił

i przeżegnał, świętą Ziemię.

Pocałował w czoło dziecko

I powiedział:

“Witaj, Ziemio.

Moja córko – jedynaczko.

Najpiękniejsze Moje CACKO...”

(obok stała Venus niema)

Czas by ostrzec wszechświat cały,

Przed pewnymi następstwami,

że jeśli się pojawił

Jakikolwiek przybysz z ziemi...

Będzie z ziemi, której nie ma

Będzie z ziemi co istniała.



Tadeusz Turkowski

Tadeusz Turkowski był aktorem legendarnego Studenckiego teatru „Hybrydy” w Warszawie w latach 1961-1973. Wraz z Janem Pietrzakiem i Janiną Ostałą występował w pierwszym programie kabaretowym „Kąpiel w Rubikonie” (1961). Następnie w programach kabaretowych Wojciecha Młynarskiego „Radosna Gęba Stabilizacji” (1962) i „Ludzie to Kupią” (1963). Jesienią 1963 roku Wojciech Młynarski odchodzi z teatru „Hybrydy”, do współpracy przychodzą: Jonasz Kofta, Stefan Friedmann i Maciej Damięcki. Zaczęła się era Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty (1964-1968). Wraz ze Stefanem Friedmannem i Maciejem Damięckim, Tadeusz Turkowski kontynuuje swój udział programach kabaretowych Jana Pietrzaka i Jonasza Kofty. Były to najlepsze lata teatru „Hybrydy”.

W czasie 12-letniej współpracy z teatrem „Hybrydy”, Tadeusz Turkowski udzielał się również w licznych programach poetycko-muzycznych. Przyjaźnił się z wieloma młodymi poetami: Edwardem Stachurą, Zbigniewem Jerzyną, Barbarą Sadowską, recytując ich wiersze na spotkaniach autorskich.

W latach 1963-1965 brał udział w Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Studenckich w Rouen we Francji i na Festiwalu w Istambule w Turcji.

Jan Pietrzak, kierownik teatru w latach 1961-1968, w 1968 roku został zmuszony przez władze komunistyczne do odejścia z „Hybryd”. Tadeusz Turkowski, odziedziczył po nim funkcję kierownika teatru, którą pełnił aż do chwili wyjazdu z Polski w 1973 roku.

Teatr „Hybrydy”, jak sam twierdzi, był wielką przygodą w jego życiu. Równolegle studiował na wydziale Mechaniczno-Technologicznym Politechniki Warszawskiej, którą ukończył w 1966 roku.

Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych pracując w swoim zawodzie, nigdy nie zerwał kontaktu z ukochanym językiem polskim i polską poezją. Od 40-tu lat recytuje polskie wiersze dla Polaków mieszkających w Ameryce. Uczestniczył w ponad 50-ciu różnego rodzaju spotkaniach i wieczorach poetycko-muzycznych. Występował w Polskich Fundacjach Kulturalnych, u Weteranów, w polskich klubach, kościołach, szkołach i w domach prywatnych. Występował również w Polonijnych Kabaretach na Brooklynie, organizowanych przez redaktora Janusza Szlachtę z „Nowego Dziennika”, między innymi z wybitnym muzykiem - saksofonistą Krzysztofem Medyną.

Ach ci poeci!



Florian Śmieja

Witold Gombrowicz w swoim "Dzienniku" napomknął, że go źle czytam. Widocznie uważał, że powinienem obrać inną metodę. Zrobię to, jak czas pozwoli. Pisał do mnie w sprawie tłumacza, któryby potrafił przekładać jego teksty na język hiszpański. Próbowałem mu pomóc, ale nie wiem, czy ostatecznie z moich sugestii skorzystał.

Wymieniając kiedyś współczesnych polskich prozaików, którzy równocześnie byli autorami dobrych wierszy, otrzymałem list od **Józefa Wittlina** z Nowego Jorku, bym o nim nie zapomniał, bo i on należał do tej kategorii. Nie tylko o nim pamiętałem, ale nawet odwiedziłem jeszcze znalazłszy się na amerykańskim kontynencie.

Wisławę Szymborską poznałem w redakcji "Tygodnika Powszechnego". Kiedy wszedłem do pokoju Jerzego Turowicza, zastałem go z poetką, która akurat zdawała relację z podróży do Niemiec, gdzie odebrała nagrodę Goethego. Wręczyłem jej emaliowy znaczek w postaci miniaturowej kanadyjskiej flagi. Kiedy wysłałem jej artykuł z przełożonymi na język hiszpański jej dwoma wierszami z gazety

kolumbijskiej, otrzymałem charakterystyczną kartkę z ryżym kotem i podziękowaniem. Teraz kot pilnuje mojego depozytu w Bibliotece Uniwersytetu w Rzeszowie.

Zaproszenie **Czesława Miłosza** do Londynu przez naszą grupę młodych poetów spotkało się z protestem przeciwników politycznych z **Zygmuntem Nowakowskim** na czele. To on w felietonie w "Dzienniku Polskim" z 3 października 1957 roku napisał

To pewna, że odczyt nie powinien odbyć się w gmachu, przyozdobionym sztandarami wojska polskiego. Trzeba ten gmach wykadzić.

Jako redaktor miesięcznika, który Miłosza zaprosił napisałem wtedy list do "Dziennika Polskiego". List się ukazał mimo, że Nowakowski był jednym z dyrektorów dziennika, a list nie był elegancki.

Atoli trzy lata po incydencie z Miłoszem, Nowakowski napisał felieton *Kula u nogi?* Był to błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji polszczyzna była dla nas najwłaściwsza, czy nie należało się od niej uwolnić i przyłgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez moment nie wątpił, że jednak zwycięży język polski.

Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo że widział, iż stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosi się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym

szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozważliwej. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej, tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

I zakończył:

A język, zamiast kul u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Po latach wiem, że przecucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły, także w odniesieniu do mnie samego.

